№ 8.

Warszawa, dnia 21 Lutego 1863 r. 9 Lutego.

TYGODNIK MÓD

NOWOŚCI DOTYCZĄCYCH GOSPODARSTWA DOMOWEGO.

CENA. w Warszawie *kwartalnie* złp. 10 (rsr. 1 kop. 50); *półrocznie* złp. 20 (rsr. 3); *rocznie* złp. 40 (rsr. 6). **Na Prowincji** *rocznie* złp. 50 (rsr. 7 kop. 50); *półrocznie* złp. 25 (rsr. 3 kop. 75).— **W Cesarstwie i Królestwie,** z dopłatą kopert pocztowych, *rocznie* złp. 63 gr. 10 (rsr. 9 kop 50; *półrocznie* złp. 31 gr. 20 (rsr. 4 k. 75).

Prenumerować można w Redakcji przy ulicy Żabiéj Nr. 956 *b*, w domu Krzemińskiego; w Kantorach pism perjodycznych; na stacjach pocztowych i we wszystkich księgarniach tak w kraju jak i za granicą.— —**Listy i przesyłki pieniężne na sprawunki, prosimy** adresować — *Do J. K. Gregorowicza w Warszawie, ulica Żabia Nr. 956 b, dom dawniéj Krzemińskiego.*

KORRESPONDENCJA Z PARYŻA.

—Przeżyty starzec najprędzéj znudzi się wszystkiém; trzeba mu wymyślnych, nieraz dziwacznych zabaw i wzruszeń, aby stępiałe nerwy odżywić i rozweselić: dziecko lada błyskotka lub fraszka zajmie i rozśmieszy. Dzisiejszy Paryż, we wszystkich prawie objawach życia swojego, ma tę podwójną cechę zgrzybiałości i najlżejszéj pustoty: w polityce, nauce, piśmiennictwie, sztuce i zabawie. W jednym tylko kierunku działalny jest zawsze na serjo, i ciągle naprzód postępuje, kiedy trudni się przemysłem i handlem, interesem, zyskiem materjalnym i wszystkiém tém, co z niemi w bezpośrednim pozostaje związku.

Przez cały ubiegły rok, jakaś ciężka atmosfera przesytu i nudnéj zwyczajności gniotła świetną stolicę Europy. Obalanie starych domostw, niszczenie starych, ciemnych zaułków, coraz to nowe gmachy i bulwary, jakby cudem powstające, odradzają tylko zewnętrzne oblicze miasta, którego mieszkańcy za to grzęzną w apatji i niemocy.

Upadku tego najłatwiéj dostrzedz w piśmiennictwie, wiernie zawsze wyrażającém społeczność, z jakiéj wyrasta. Prócz jednych „Nędzarzy" Wiktora Hugo, który względnie dzisiejszéj chwili narodu już jest wyobrazicielem przeszłości, i którego rozgłośny ów utwór znacznie jest słabszym od wielu poprzednich, nic istotnie znakomitego nie pokazało się w ubiegłym roku we Francji.

Pani Sand pisze powiastki, jak zwykle, wprawnie i pięknie obrobione; heroina w nich zawsze hojniéj od bohatera uposażona, zniża się do wyprobowanego w stałości namiętnéj męczennika, i przecie uszczęśliwić go raczy.

Panowie: Dumas, Méry, About, Feydeau, Feval i t. p., zawsze zgrabnie fabrykują swoje wyroby.

Panowie: Feuillet, Augier, Sardou i t. p. obrabiając zaczęsto w komedjach, przysłowiach, lub dramatach blade postacie z codziennego życia, odzywające się za to sprytnemi, olśniewającemi frazesami, jakich tajemnicę tylko Francuzi posiadają, łudzą siebie i widzów, że to typy wyższém tchnieniem sztuki ożywione. Zamiast smak publiki podnosić, zniżają się do niego, w obawie, aby ich dzieła źle nie procentowały; bo jak dobrze powiedział jeden krytyk tutejszy: „Utwor dramatyczny jest dzi-

siaj we Francji spekulacją, interesem handlowym.“ Zresztą, dla większości paryzkiéj publiki, poważne dzieło sztuki mniéj często bywa ponętne od lada czarodziejskiego melodramatu, lub nędznéj łataniny, aby tylko zabawić, a zwłaszcza rozśmieszyć potrafiła. Wtedy dowcip jaki, piosneczkę jedną przez kilka miesięcy całe tłumy będą powtarzały, dopóki nie zestarzeje się i nie ustąpi miejsca innemu drobiazgowi. Od pierwszego przedstawienia Rothomaga, arcydzieła maszynerji, dekoracji i niedorzeczności, ile to już czasu upłynęło, a dotychczas na każdéj ulicy, w każdym domu, o każdéj porze dnia nie podobna nie usłyszéć Paryżan, a zwłaszcza Paryżanek rozmaitego wieku i stanu, nucących zapamiętale piosnkę o Nicette, z ulubioną zwrotką:

Et allez donc, Eh allez donc, alez donc Turlurette!

albo:

J'ai un pied qui r'mue
Et l'autre qui ne va guère.
J'ai un pied qui r'mue
Et l'autre qui ne va plus!
. . . .
. . . .

Duch najbardziéj może pierzchnął z dramatycznego działu piśmiennictwa, i gdyby nie stary Kornel, Moljer, Rasyn, Beaumarchais, czasem jakie przysłowie Musset'a, scena tutejsza byłaby w nader smutnym stanie. Aktorzy za to lada farsę grają wybornie, zwłaszcza w teatrze komedji francuzkiéj, gdzie obecnie *Le fils de Giboyer*, utwor E. Augier, ściąga massę widzów, słuszniéj może, niż wiele dawniejszych prac jego. Prassa opozycyjna energicznie powstała na autora, mającego poparcie w sferze oficjalnéj, że uderzył na bezbronnych pietystów i wyprowadził na scenę karykatury Guizota i Veuillota. Komedja ta jednak trafnie odtwarza błahość, niesumienność i chwiejność politycznych opinji tutejszego społeczeństwa, a grzeszy tylko tém, że przedstawiając wady, jakie się pod dawnym systematem wyrodziły, nie dotyka tych, które dzisiejszy rozwinął.

Mimo, że cały Paryż nuci *Turlurette, Mirliton* i *Pied qui r'mue*, mimo Opery Wielkiéj, komicznéj i włoskiéj, mnóstwa koncertów codziennych i pseudo koncertów po Cafés chantants, gdzie bezpłatnie rozdzierają uszy artystki w rodzaju niemieckich harfiarek, o prawdziwie dobrą muzykę wokalną lub instrumentalną niełatwo w Paryżu. Francuzi nie są wcale muzykalnym narodem; znacznie tu mniéj osób niż u nas, we Włoszech lub w Niemczech, oddających się téj sztuce z upodobaniem; po domach prywatnych niewielu znajdzie amatorów i amatorek, grających bieglej na fortepianie, lub śpiewających znośniéj.

Dobry ów tradycyjny humor francuzki, niewymuszona wesołość, także pierzchnęły obecnie. Chyba w chorowitym, konwulsyjnym wybryku można zoczyć jéj parodję na jakim balu maskowym, a raczéj zamało maskowym, lub w okrzykach pijaków, walających się po obłoconym makadamie.

Wprawdzie robotnicza gawiedź w bluzach, wracająca w święta koleją z jakiéj wycieczki za miasto, nie zapomniała jeszcze po trzeźwemu tupać, wrzeszczéć, i po małych teatrzykach śmiać się jeszcze tym otwartym, głośnym śmiechem, co to po pracy ulgę człowiekowi przynosi. Większość Paryżan za to trawi wieczory po klubach, kawiarniach i winiarniach. Wegetowanie po klubach jest prawie jednostajne we wszystkich miastach europejskich; w kawiarniach tutejszych wegetują nad billardem, dominem, kartami; przy kuflach piwa kurzą gipsowe fajeczki; ziewając czytają żurnale i zamieniają błahe kalembury, czasem ostrożne spostrzeżenia o bieżących sprawach.

Kobiety (mowa o tych, co nie chodzą do kawiarni) zapewne nudzą się w domu? Nie. Francuzki nie potrafią się nudzić, lubią pracę i zawsze zdołają wynaléść sobie zajęcie. Jest to arcy-szanowny przymiot u kobiet tak żywego charakteru, ustroju, lekkiego usposobienia, przy niewyczerpanéj chęci wabności i pokazu. To też w pracowitości swojéj różnią się niesłychanie od powolnych Niemek, które przy drutach, igle lub garnkach marzą i tęsknią sentymentalnie; od Angielek, zamkniętych po zamąż-pójściu może zbyt ściśle w zakresie domowego życia, ukształconych, kształcących się ciągle i melancholicznych. Francuzki zaś, znajdując się w innych danych towarzyskich, egoistyczniéj pojmując pracę, chciałaby w niéj dorównać mężczyznom i nawet przewyższyć, i to nie tylko w téj sferze, która jest dla nich dostępną, ale w téj, co się nazywa buchhalterją, rachunkowością, administracją domów, hotelów, co się zajmuje większym handlem, spekulacjami, przemysłem, polityką, co gra na giełdzie, pisze i mówi z katedry. Przy takiéj dążności, przy takiém gorączkowém współubieganiu się w pracy, kobieta musi przekroczyć właściwe sobie granice działalności społecznéj, tém bardziéj w tém kafarnaum paryzkiém, gdzie domowe życie tak mało rozwinięte i edukacja niewieściego ogółu tylko powierzchowna. Niewłaściwość wielu zawodów, jakie kobiety tu obierają z potrzeby, stanowi ujemną stronę arcyszanownego przymiotu ich pracowitości.

Ze wszystkich kobiet w Europie, niezawodnie tylko Angielki i Polki posiadają społeczne wyższe znaczenie; — ale porównywając Angielkę z Polką, śmiało wyznać trzeba, że pod każdym względem nasze zacne niewiasty mają wyższość niesłychaną. Nie wspominając już o tym uroku prawdziwie kobiecym, o téj rodzinnéj rzewności, o téj prawdziwéj pobożności z potrzeby serca płynącéj, do któréj Angielka nigdy się podnieść nie zdoła, społeczna dzisiaj działalność Polek, poświęcenie podjęte w najwłaściwszym dla nich zakresie uzacnienia rodziny, umoralnienia ogółu, oświecania ludu wiejskiego, jedna im wielkie, wyłączne stanowisko, które prawdziwą chlubę narodowości naszéj przynosi. Kilka tych słów prawdy, potwierdzonych zdaniem i sądem znakomitych myślicieli zachodu, których uderzyło wzniosłe przejęcie się niewieściém posłannictwem społeczném (między innemi Micheleta, Montalamberta i innych), nie może być uważane za pochlebne słowa ze strony korrespondenta. Owszem, czuje się on w obowiązku, w imieniu wszystkich rodaków tu zamieszkałych, złożyć hołd naszym niewiastom za ich ważne współdziałanie ku dobru ogółu, i przy tym Nowym Roku winszując im tak chlubnéj opinji, na którą najsumienniéj zasłużyły, życzyć im, aby nadal wytrwały w poświęceniu swojém, w téj ustawicznéj pracy, cichéj a potężnéj. Nie wątpię, że to życzenie będzie nieohybną przepowiednią. Ale oderwijmy się od rodzinnych uroków i wróćmy do starego Paryża.

Może to zbyteczne używanie piwa, coraz ujemniéj na Francuzów oddziaływać zaczyna, bo i blaga paryzka, sławne to wyszczekanie bogatych i ubogich, dygnitarzy i kuglarzy, gimnastyków, taksatorów, ekwilibrystów, przekupniów ulicznych, chyli się do upadku. Rycerski Mangin w lśkniącéj zbroi, w hełmie z pióropuszem, sprzedający ołówki po placach; brodacz z rodziną, to jest: sową, szczurami, królikiem i wróblem, żyjącemi w zgodzie; margrabia w trójgraniastym kapeluszu i żabotach, z loterją na pierniki, i tylu innych cudaków, jakich nie brak na paryzkim bruku, przegadało się i często już namyślają się nad głupstwami, którémi chcę rozśmieszyć gawiedź tak pohopną do śmiechu.

Reklamy rozmaitych handlów i sklepów, licznie rozdawane po mieście, nie dosięgają komiczności pufów angielskich, lub pocieszném nieraz rubaszności naszych kurjerkowych doniesień, chociaż czasem chwytają się rozpaczliwych środków. Niedawno naprzykład jedna reklama grzebieniarska rozpoczynała się od takiéj sentencji: „Jeżeli co może sobie rościć prawo do nieśmiertelności, to niezawodnie czystość, a zwłaszcza czystość koło głowy.“

Dziwna ta faza nudoty w Paryżu nie jest wcale wyjątkowym poglądem, wywołanym przez zły humor, lub osobiste czyje niezadowolenie, uderza owszem wielu przyjezdnych, którzy się nieco dłużéj zatrzymają; i niejeden z nich, co spieszył się z przyjazdem, tém pospieszniéj odjeżdża ztąd na długo, a może na zawsze.

Wigilję Bożego Narodzenia obchodzą tradycyjną gościnną biesiadą dwa narody, u których życie domowe najbardziéj może jest rozwinięte: my i Anglicy, z tą różnicą, że u nas postne wykwinty podają na stół zasłany sianem, że tyle nabożnych wspomnień, jak łamanie się opłatkami i śpiewanie kolęd, łączy się z tą domową uroczystością; mięsożerny zaś John Bull najsoczystsze bifsteki i rozbefy w dniu swego Chrystmas spożywa, zatapiając się potém w rozpamiętywaniach nad biblją i kombinacjami spekulacyjnemi.

U Francuzów istnieje także podobny zwyczaj; w Paryżu nazywają *révéillon* zwyczajną wieczerzę, którą tylko późniéj jadają. Jak w całym katolickim świecie, tak oczywiście i tutaj odbywa się nabożeństwo w nocy, tak zwana u nas *pasterka*. Najświetniejsza w tę wigilję pasterka w Paryżu odbyła się w kościele świętego Eustachego. Wejście kosztowało sześć su; znakomici artyści wykonywali koncert nabożny, który w tym obszernym gmachu licznych ściągnął słuchaczy. Paryż za to, jak wiadomo, od świąt Bożego Narodzenia aż do Trzech Króli przybiera właściwą sobie oryginalną cechę, ożywiającą niesłychanie ruchliwe jego tłumy. Wzdłuż bulwarów staje jakby cudem sto kilkadziesiąt straganów, w których odbywa się jarmark na najrozliczniejsze produkta i oszustwa przemysłu i tandety. Najwięcéj tam cacek dziecinnych z powodu kolędy, która jest tutaj pojętą z wyrachowaniem. Nie tylko dzieci dostają podarunki, ale i osoby wszelkiego wieku dają sobie prezenta nawzajem. Jest to warunek *sine qua non* dobréj znajomości i zażyłości, któremu pod klątwą barbarzyństwa lub bezecnego skąpstwa nie godzi się uchybić. Kto w jakim domu bywa, musi w Nowy Rok nie tylko przesłać bilet wizytowy, lub powinszować osobiście; wymagają od niego, ażeby obładowany pakami darków rozmaitych, nie zapomniał prawie o żadnym z domowników. Cudzoziemcy stojący po hotelach muszą także w ten dzień obdarzać brzęczącemi kolędami odźwiernych, odźwierne, garsonów, perukarzy, bryftregerów i komissjonerów. Po kawiarniach garsony ofiarują gościom w prezencie cygara, piórka od zębów, fajeczki gip-

sowe i t. p. fatałaszki, za które trzeba im się wywdzięczyć nieskąpym datkiem.

Na ów jarmark wysypuje się, jak powiedziałem, cały Paryż. Bardziéj i mniéj przyzwoite lub możne damy, stare i młode, brzydkie i ładne (tych nader mało) targują się przed straganami, grają w rozmaitego gatunku loterje: kołkowe, billardowe, korbowe, dzwonkowe i t. p.; wygrywają łańcuszki stalowe, szpilki z tombaku, pomarańcze, pierścionki które się łamią natychmiast, zatyczki do piór, rękawiczki co pękają w minut parę, kałamarze, kołnierzyki, mankiety, czepki i t. d. Wszystkiego w tych straganach dostanie: fraków i kiełbas, książek i pantofli, obrazów i pukawek, krynolin i korniszonów, a wszystko licha warte. Krzyk, wrzawa, rojenie się tłumów, rozmaite sposoby wabienia kupujących: namową, spojrzeniem, wreszcie prawie groźbą, o których u nas nawet z wymownych zachęcań na Franciszkańskiéj i Nowowiniarskiéj ulicy nie można powziąć wyobrażenia. Jest to parodyjny wyskok na nieskończenie wielką skalę jarmarku w jakiém czysto żydowskiém mieście w Berdyczowie, w Brodach, z tém uwzględnieniem, że nasi Żydkowie z pewnością mniéj obdzierają kupujących, i lepsze im sprzedają towary, niż ucywilizowana gawiedź paryzka.

DO MATKI BOSKIÉJ.

1.

Witaj śród Aniołów grona
Matko ubłogosławiona!—
Oby cześć i wieczna chwała
W Polsce na wieki Ci brzmiała.

2.

Bo my już oddawna, Pani!
Na zawsze Twoi poddani;
Kto ufność w Tobie pokłada,
Włos z głowy jego nie spada.

3.

Pobłogosław nasze pola,
Daj zebrać pomyślnie żniwo;
Niechaj żyzną będzie rola,
A daj nam dolę szczęśliwą!

4.

Niech miłość wśród nas zagości,
Złość i zawiść niechaj zginie;
Niech pod promieniem miłości
Jak lód w słońcu się rozpłynie!

5.

Niechaj brat brata nie ciśnie,
Daj nam jedność i wytrwanie—
A gdy czas zgonu zabłyśnie
Dla prawdy—w Tobie skonanie!

6.

Gdy Bóg ześle gromy z burzą—
Módl się o Syońska Różo!
Otul, okryj nas na wieki
Niebieskim płaszczem opieki!

Antonina z nad Warty.

---

* * *

Jutrzenka, Tygodnik dla Izraelitów, w przedostatnim swym numerze pomieściła bajkę: *Eol* i *Febus*, przedstawiającą w przenośni potęgę oświaty, a bezsilność gwałttu i przymusu. W Olimpie radzący bogowie dostrzegłszy na Grzybowie biegnącego młodego Izraelitę w dziwacznym, niby narodowym stroju, nie mogą się uspokoić w obudzonym śmiechu, który nawet najpoważniejszym senatorom rozmarszcza czoło. Eol więc uprosiwszy u Jowisza pozwolenie na zmuszenie Izraelity do zrzucenia téj karykatury różnych ubiorów, rozkiełznął uwięzione w pieczarze wiatry, spodziewając się potężném tchnieniem zrzucić z młodzieńca jego szaty. Ale im mocniéj dęły wiatry, tém silniéj owijał się młodzieniec w swą odzież, tak dalece, że Eol, który zburzył tyle okrętów, zerwał tyle dachów, zgniatał jak trzcinę stuletnie dęby i wyrywał je z korzeniami, nie mógł podołać uporowi *fanatyzmu*. A oto na wysokiém niebios kole roztacza Febus swój rydwan złoty, a jego rumaki pędzą po przestrzeni, buchając ogniem ożywczym; promienie tego ognia padły na zadyszanego jeszcze wyciem wiatrow młodego Izraelitę, a ogrzany zbawienném ciepłem *oświaty*, zrzucił z siebie i kołpak futrzany i opończę jedwabną, obciął długie włosy, uporządkował wąsy i brodę, obejrzał się dokoła i ujrzał uśmiechającą się doń naturę całą, nie słyszał więcéj ryku Boreasza nad swą głową, lekkie zefiry wiejące z Zachodu ochłodziły żar słońca, i przejrzał na zawsze. A na Olimpie pusty śmiech zamienił się na oklask podziwienia, a Grzybów przestał być Grzybowem!

Prawda zamknięta w téj bajce, w przeglądzie spraw światowych i ścierania się żądz i namiętności ludzkich, zawsze i wszędzie nieomylna, świeżo poparta została wykazami statystycznemi, w których martwe na pozór cyfry nader wymownym przemawiają głosem. I tak, w Edymburgu lat temu piętnaście, nieznośne żebractwo dzieciaków i podrostków jednéj chwili spokojnéj nie zostawiało przechodniom; więzienia zaś napełniały się mło-

demi winowajcami za kradzież, których wiek nawet czternastu lat życia nie przechodził. Pragnąc złemu, coraz się więcéj rozszerzającemu radykalnie zapobiedz, założono szkoły dla dzieci opuszczonych, i dziś żebractwo prawie ustało w Edymburgu; liczba uwięzionych za kradzież dzieci niżéj lat 14 liczących, zmniejszyła się z pięciu na jeden od sta, a więźniów w wieku od 14 do 16 lat, która w roku 1848 wynosiła 552 indywiduów, w r. 1859 nie przeszła cyfry 130. Nadto wyrachowano, że takie umniejszenie liczby winowajców pomniejszyło wydatek skarbu publicznego na utrzymanie więźniów przez przeciąg lat 12, poczynając od r. 1848, ogółem o franków 1,875,000, że zaś wydatki na szkoły przez te lat 12 nie przewyższyły 600,000 franków, założenie więc ich oszczędziły skarbowi przeszło franków 1,200,000.

Jakież to zdumiewające korzyści z poczciwego poświęcenia i z rozumnego szafunku pieniędzy! Grosz w pierwszéj chwili dosyć duży, wyłożony na rozszerzenie między prostaczków oświaty, nie tylko z największą lichwą powrócił się krajowi, ale nadto dał mu obywateli zamiłowanych w pracy, w cnocie, trzeźwości, zdolnych dla jego dobra do ofiar i poświęcenia. Oświata bowiem tém jest dla serca i duszy człowieka, czém ożywcze słońce dla ziemi; i jak słońce, rozwijając w niéj uśpione przez zimę nasiona, okrywa ziemię bujną roślinnością, a późniéj rozlicznym owocem, tak i człowiek pod wpływem oświaty, z automata skłonnego głównie do złego, przemienia się na członka społeczeństwa prawdziwie pożytecznego, a często na jego chlubę i ozdobę. Summa zaś podobnych jednostek stanowi miarę zacności całego społeczeństwa, starajmy się więc nie o jakieś zakazy złego, nie o recepty przeciw pijaństwu, próżniactwu, niemoralności i nieprzychylności ludu, ale o jego oświatę zbiorowo przedsiębraną, i miéjmy to na pamięci, że gruntowne wszelkie zmiany zdobywają się tylko pracą, trudem i poświęceniem, bo lenistwo wieków staraniem jedynie długich lat naprawić można.

Jak oświata dobroczynny wpływ wywiera na ludzkość i narody, przekonywa nas równie kilka szczegółów ze statystyki morderstw popełnionych w różnych krajach Europy. I tak: w dolinach kantonu Vaud prawie nigdy podobne zbrodnie nie mają miejsca; w innych zaś krajach na tysiąc mieszkańców przypada morderstw rocznie: w Anglji 4, w Belgji 17, w Sardynji 20, we Francji 31, w Austrji 36, w Bawarji 38, w Sycylji 90, w Rzymie 100 a w Neapolu aż 200. Cyfra to przestraszająca, bo tam co piąty człowiek ginie od noża albo sztyleta; ale bo też Neapol podobno w europejskiéj rodzinie najniżéj stoi pod względem oświaty i moralności.

Żeby jednak oświata była zbawienną i dobroczynną, koniecznie powinna iść w parze z moralnością i religją. Rozdział bowiem sprowadza wprost przeciwne skutki, tak dalece, że we Francji w miarę rozszerzania się nauki pisania i czytania, pomiędzy rokiem 1846 a 1850, choć zmniejszyły się przestępstwa kradzieży, ale za to zwiększyła się znacznie liczba licznych rodzai fałszerzy, z których prawie wszyscy umieli czytać i pisać.

Przyjaciel Zdrowia, przytaczając fakt ten, powiada w ostatnim swym numerze:

„Zadziwia to każdego myślącego człowieka, że w miarę wzrostu oświaty, powiększa się liczba zbrodni? Lecz czémże jest oświata bez wychowania, mówi Montaigne, jeżeli nie jedném więcéj narzędziem złego? Możeż moralność ostać się sama bez religji? Umiemy spadkować cnotę, ale jéj nie kochamy; jeżeli nie pojmujemy mądrości w swych skutkach, lub z doświadczenia, to nauczamy się jéj na pamięć jakimś szwargotem. Obyczaje i rozmowy chłopów więcéj znajduję zgodnemi z zasadami prawdziwéj filozofji, jak obyczaje i rozprawy samych filozofów. Ktoby nas porządkował podług naszych czynów i złego prowadzenia się, to niezawodnie wśród ludzi nieoświeconych znalazłby pod każdym względem więcéj cnotliwych, jak wśród ludzi uczonych. Zgubić kogoś, jest przymiotem wiedzy...."

A jabym dodał: poratować i być pożytecznym—przymiotem wiedzy, moralności i religji.

O zachowaniu tego warunku, tam gdzie przewodniczą nasze Polki, jestem zupełnie spokojny, bo działając w imię miłości chrześcijańskiéj, z ręki ich matczynéj wszystko wyjdzie opromienione tém świętém uczuciem, ale lękam się macoch i ojczymów.

KRONIKA LITERACKA I ARTYSTYCZNA.

—*Modlitwy i nauki*, dla ludu wiejskiego napisane przez Stacha Dworaka; i drugie takie same dla *rzemieślników*, każda po złp. 2; stanowią książeczki bardzo użyteczne, z zastosowaniem do usposobienia umysłowego tych, dla których są przeznaczone. Stacha Dworaka znamy dobrze już nie z jednéj pogadanki i powiastki, w pismach perjodycznych pomieszczonych; ale przede wszystkiém, choć w pracy téj piśmiennéj nieposlednie zajmuje miejsce, znamy go z prawdziwéj miłości dla ludu, bez któréj nigdy, przy największym talencie nawet, pożytecznym pisarzem być nie można. To też książeczki te zsercem napisane i ze znajomością swych

czytelników, niezawodnie do ich serc trafią, i w przyszłości dadzą plon, którego ani mól nie zgryzie, ani ogień nie strawi.

—*Kolenda dla Dzieci polskich*, zebrana przez Mateusza Gralewskiego; stosownie do oprawy cena gr. 40, gr. 50 i złp. 2. Ozdobiona kilkunastu drzeworytami, zawiera w sobie: nowość, śpiewki historyczne przez p. St. Czyńskiego, ułożone na znane melodje piosnek ludowych.

Myśl to przewyborna, wykonanie bardzo dobre, tylko radzimy szanownemu autorowi śpiewki te cokolwiek tworzyć krótszemi. Zbyt bowiem długa, śpiewana na krótką melodję pieśni ludowéj, monotonnością znudzi i śpiewających i słuchających. Cały układ książeczki jest tak troskliwy, staranny i umiejętnie dopełniony, że dosyć jéj ani pochwalić, ani polecić nie można. Znajdzie bowiem tam wszystkiego po troszku, tyle właśnie, ile dziecko może zapamiętać i przeczytać bez zmęczenia, a najwięcéj serca i poczciwéj myśli.

—*Bajki Ign. Krasickiego*, wydane przez A. Matuszewskiego, złp. 1 gr. 24, ozdobione 36 drzeworytami. Bajki te znane są każdemu, a choć drzeworyty nieszczególne, zawsze jednak za ozdobę uważać je można.

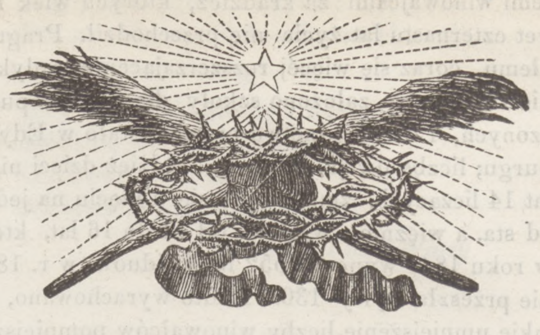
Bibljoteka Warszawska wydawnictwo bajek tych także uskuteczniła, z tą różnicą, ze do każdéj dała objaśnienie, bez któréj trudno dziecku bajki Krasickiego zrozumieć; a cenę naznaczyła tylko gr. 10. Wprawdzie nie dodała drzeworytów, ale o drzeworyty dobrze pomyślane i wykonane nie tak łatwo, a dać byle jakie, jak najczęściéj robią nasi wydawcy, to szkoda i czasu i atłasu.

—*Książka do pierwszego czytania* dla szkół publicznych prywatnych, przez E. Estkowskiego, zł. 2, w oprawie mocnéj złp. 2 gr. 15. Książeczka wybornie pomyślana i napisana, obejmuje krótkie i serdeczne opisy różnych przedmiotów pod zmysły podpadających, ze stosownemi powiastkami, wierszykami, zagadkami, zapytaniami i t. d. Obok zajęcia, jakie przy czytaniu obudzi w dzieciach, daje bogaty materjał do stosownych objaśnień nauczycielowi, przez które może rozwijać miłość Boga i wszystkiego, co jest pięknem, zacném i szlachetném.

SZARADA.

Pierwszy zawsze ognisty,
Ale nigdy wodny;
Drugi wstecz zawsze z drzewa,
Wszystek zwykle głodny. *S. T...*

(Znaczenie przeszłéj Szarady:—**Poromansowanie**).



Wśród jednostajności panującéj w teraźniejszém ubraniu, rzadko kiedy pojawi się coś nowego, czegobyśmy jeszcze nie widzieli. Otóż w tych dniach spostrzegliśmy w magazynie panien Kuhnke zupełnie nowy rodzaj sukni codziennéj, zalecający się wygodą i gustem.

Suknia ta czarna wełniana w białe paski, miała przody krajane kulisto jak u *gabrjeli*, nieodcinane od stanu. Tylne bryty proste, odcięte, przymarszczone były do szerokich pleców, które się ściągały na wstążkę szerzéj lub ciaśniéj, według woli. Kończył spódnicę nadpowietrzny wolant, szeroki na łokieć, wycinany w górze w okrągłe zęby, zakończone pliską jedwabną, przystębnowaną biało. U dołu wolanta nad obrębem szła plisa szeroka przeszło na pół ćwierci; wolant ten fałdowany był w rzadkich odstępach, na każdym fałdzie przytwierdzony czarnym guzikiem. Do związania w pasie dana była szarfa z czarnéj wstążki, z białym wązkim brzeżkiem. Niewielka pelerynka, roztwarta z przodu, objęta czarną pliską, związana była u szyi na kokardę. Rękawy otwarte, szerokie, miały klapy odwijane od spodu, zakończone w ząb, objęte pliską czarną. Po bokach spódniczki szły kieszonki, z wyłożoną klapką od góry.

Do tego rannego ubrania uważaliśmy bardzo odpowiedni czepeczek biały muszlinowy w rodzaju okrągłéj chłopki, ogarnirowany ruszą muszlinową podniesioną nad czołem, a zwężoną po bokach. Rusza ta miała obrębek obstębnowany czarnym jedwabiem. Od tyłu spadały dwa szerokie końce muszlinowe. Czepeczek ściągnięty był na elastykę. Cena jego złp. 13 gr. 10.

W tymże magazynie uważaliśmy parę kapotek mantynowych czarnych, bardzo właściwych na teraźniejszą porę. Jedna z nich cała naciągana, podgarnirowana była krepą bez kwiatów, na wierzchu przybrana także grubym wałkiem skręconym z krepą. Z pod tego wałka spadał długi krepowy woal.

Druga kapotka także mantynowa, przerobiona z przeszłorocznéj, cała pokryta była gęstą paryzką krepą. Na wierzchu ronda szła kokarda z szerokiéj wstążki. Druga takaż kokarda stanowiła pod-

pięcie nad czołem, podgarnirowana z boków z czarnéj blondynki, i długi krepowy woal dopełniały ubrania.

W magazynie pani Klementyny zwróciła naszą uwagę suknia wełniana czarna z wyrobu zwanego *parisienne*. U dołu spódniczki szła falbanka fałdowana, szeroka na cztery palce, bez główki, zakończona w górze wstążeczką z białemi brzeżkami. Nad tą falbanką dana była druga także sama, ale w odwrotnym kierunku, naszyta u dołu wstążeczką; odstęp między jedną a drugą wynosił około pół ćwierci. Stanik gładki do paska, spięty na guziki, przybrany był odpowiednio falbanką, daną wzdłuż przodów, zaokrągloną po bokach. Rękawy półotwarte tak samo się kończyły.

Inna suknia czarna rypsowa, zupełnie gładka, miała kieszonki obłożone aksamitem. Stanik z przodu okrągły, bez bawetu, zakończony był z tyłu karoczkiem złożonym z trzech aksamitnych klapek, wyszytych sutaszem jedwabnym. Przody u stanika miały wyłożenie aksamitne, naszyte odpowiednio. Rękawy ścięte od łokcia, mocno zwężone u ręki, przybrane były także aksamitnym mankietem.

Sukienka dla małéj sześcioletniéj dziewczynki, ciemno-popielata popelinowa, miała u dołu czarną jedwabną, karbowaną falbankę, szeroką na trzy palce. Staniczek czarny szwajcarski, ogarnirowany był wązką ruszką. Z tyłu spadała kokarda z końcami długiemi. Bluzka do tego muszlinowa biała, z rękawami, dopełniała całości.

Inne ubranie dla małéj dziewczynki składało się z czarnéj spódniczki w biały rzucik, i z takiegoż kaftaniczka, wpadającego do figury, mocno zaokrąglonego z przodu. Zamiast rękawów spadały od ramienia krótkie epolety, obszyte dwa razy wązką gipiurą i białym sutaszem. Do tego szła na czarną spód koszulka muszlinowa z rękawkami.

Sukienka dla trzyletniego chłopczyka, czarna rypsowa, podszyta muszlinem, spinała się na rząd guzików stalowych. U dołu, wkoło spódniczki, szły niewielkie zęby, naszyte aksamitką. Szarfa rypsowa, zakończona u dołu w takież zęby, otaczała sukienkę w pasie.

Uważaliśmy także w magazynie pani Klementyny ładne kapotki czarne jedwabne, przybrane bardzo skromnie, podpięte czarną blondynką.

W ubiorkach na głowę nie widać żadnéj zmiany; wszystkie w ogólności podniesione są nad czołem, a bardzo zwężone po bokach. Panny noszą same diademy w kształcie niewielkich czółek, przytrzymane z tyłu elastyką.

Nowości Zagraniczne.

Journal des jeunes personnes.—Przytaczamy tu ładną suknię czarną jedwabną, którą widzieliśmy u młodéj mężatki. U dołu spódniczki szła plisa aksamitna, ogarnirowana z obu stron falbaneczką mantynową; plisa ta, zawrócona na przodzie, przechodziła wzdłuż spódnicy do stanika. Oprócz tego na każdym brycie dany był słupek wysoki na pół łokcia, złożony z plisy aksamitnéj, ogarnirowany falbanką. Stanik postyljoński, miał kaftaniczek z karoczkiem, odpowiednio przybrany. Rękawy ścięte od łokcia, ogarnirowane były tak samo i zakończone w górze takiemiż epoletami. Aksamitka z falbankami przechodziła przez szew wzdłuż rękawów.

Młode panienki noszą paski postyljońskie, czarne aksamitne, zakończone z tyłu karoczkiem, z przodu zaś tworzące odwrócony bawet, takiż jak u pasków szwajcarskich.

Le bon ton.—W formie sukien nie widziemy żadnéj zmiany. Staniki robią ciągle z bawetem lub z odznaczonym kaftaniczkiem i kamizelką. Garnirunek u dołu sukni zazwyczaj bywa płaski. Pasmanterje bardzo téż używane.

Przytaczamy tu ładną suknię czarną mantynową, przybraną u dołu szerokim wolantem, układanym w wielkie kontrafałdy w odstępach. Pomiędzy główką a wolantem idzie plisa z mory czarnéj. Wzdłuż spódniczki na każdym zszyciu brytów dana podobna plisa, naszyta aksamitnemi guzikami. Stanik składa się z kaftanika *Figaro*, oznaczonego wkoło plisą morową, na któréj naszyte są również guziki. Przody morowe tworzą kamizelkę o dwóch bawetach. Rękawy dosyć wązkie, przybrane są z wierzchu trzema rzędami plisek, zwróconych od ręki ku łokciowi i naszytych aksamitnemi guzikami.

Les modes parisiennes.— Sukienki dla małych dziewczynek z popeliny wełnianéj lub kamlotu, naszywają u dołu wązką aksamitką w ukośne kwadraty czyli pierożki, złożone z drobnych kratek. U staniczka berta odpowiednio przybrana.

Dla dziewczynek używane téż powszechnie spódniczki popielate, do białego staniczka w zakładki. Pasek szwajcarski z odwróconym bawetem, z przodu i z tyłu dopełnia ubrania.

Spódniczki pod suknie dla osób dorosłych najmodniejsze są z białéj alpagi angielskiéj. U dołu mają szeroki wolant drukowany czarno. Deseń naśladuje zupełnie wyszycie sutaszem. Spódniczki te nie zmieniają się wcale po praniu.

Petit courier des dames.—Fulary ciągłéj używają wziętości. Do mniejszego ubrania noszą czarne w biały drobny rzucik, lub też zupełnie gładkie.

W stanikach małą spostrzegamy odmianę, za to rękawy dzisiejsze odmienne całkiem od dawnych; robią je bowiem znacznie węższe, ścięte od łokcia, i niewiele co otwarte u ręki. Zarzucono téż stanowczo bufowane białe rękawki pod spód, a przyjęto inne, krajane ukośno, odpowiednie do wierzchniego rękawa. Strojniejsze muszlinowe, garnirują wązką ruszką z koroneczki.

W krynolinach zaszła ważna zmiana. Wszystkie w ogólności płaskie są w górze, a rozszerzone tylko u dołu. Do ubrania używają cokolwiek powłóczystych, na ulicę znacznie powinny być krótsze.

Kolor czarny z białym i popielaty, powszechnie dziś przyjęte. Z czarnych wyrobów wełnianych najwięcéj używana popelina. Materje w drobny rzucik czarny na tle czarném należą do najmodniejszych.

Do nowości policzyć można pończochy białe w czarne muszki. Noszą je do trzewików wyciętych safjanowych na koreczkach, przybranych z wierzchu kokardą jedwabną.

Opis deseni do haftu.

Nr. 1. Deseń do wyszycia ściegiem łańcuszkowym albo sutaszem.

Nr. 2. Kołnierzyk i mankiet.

Nr. 3. Kołnierzyk marynarski wraz z mankietem.

Nr. 4, 5 i 6. Kołnierzyki z dubeltowéj weby, albo perkalu. Desenie robią się cienką włóczką czarną.

Nr. 7. Narożnik do chustki batystowéj od nosa.

Nr. 8. Figura. Suknia czarna jedwabna *gros grain* garnirowana u dołu fałdowaną falbanką, powyżéj naszyta czarną gipiurą, raz gładko, drugi raz w zęby. Stanik zachodzący z tyłu pod szyję z przodu wycięty czworograniasto, naszyty wstawkami gipiurowemi. Rękawy tak samo przybrane.

Nr. 9. Figura. Suknia czarna jedwabna, obszyta u dołu plisami aksamitnemi i wązką gipiurą albo pasmanterją przy brzegach. Na każdym brycie plisy wznoszą się w ząb blizko do połowy spódnicy. Rękawy fałdowane przy ramieniu, zwężone są u ręki, aby tylko przejść mogła, i przybrane mankietem, aksamitką i koronką. Rękawki białe z mankietem prostym webowym. Stanik gładki okrągły do paska. Pelerynka kanciasta, obszyta aksamitem i koronką. Kołnierzyk stojący webowy.

Nr. 10 i 11. Desenie do ściegu szydełkowego albo sutaszu, na plisę aksamitną do spódnicy *mléczarki*.

Nr. 12. Litery *F. L.* do znaczenia poszewek.

Nr. 13 i 17. Wstawki.

Nr. 14, 15, 16 i 18. Desenie do falbanek.

Nr. 19. Litery *A. K. T. E. H. P. M. N. W.*

Nr. 20. Centymetry.

Opis deseni do wyszycia taśmą, sutaszem i jedwabiem.

Nr. 1 i 2. Desenie do wyszycia taśmą jedwabną burnusów, sukien i t. p.

Nr. 3. Deseń do taśmy i grubego sutaszu.

Nr. 4 5 i 6. Desenie do wyszycia sutaszem.

Nr. 7 i 8. Desenie na czapkę męzką, tybetową albo aksamitną.

Nr. 9. Forma czarnéj jedwabnéj krawatki; w środek daje się sztywny kitaj i podszywa materją.

Nr. 10. Końce do téjże krawatki. Deseń cały wyszywa się czarnemi perełkami, a końce naokoło garnirują się wązką koroneczką, dając razem potrójny rzęd, z brzegów czarną a w pośrodku białą. Małe kokardki z wąziutkiéj na pół palca wstążeczki, uzupełniają ozdobę krawatki.

Nr. 12. Całość krawatki.

Nr. 23. Całość szyfonierki, któréj deseń dołączony był w poprzednim numerze Tygodnika Mód.

DONIESIENIA.

PIGUŁKI Z ROŚLIN PANA CAUVIN

Służą do czyszczenia krwi i pomagają do trawienia pokarmów. Wzmacniają kiszki i trzewia, leczą niestrawność, zamulenia żołądkowe nie osłabiając żadnego z organów ciała. Przy użyciu nie wymagają ani dyjety, ani osobnego napoju. Można je nabyć w Redakcji Tygodnika Mód po złp. 4 za pudełko, z przepisem użycia ich w pięciu językach.



Pani Ade. Szu... w Wer...—Złp. 7 gr. 10 pozostaje od prenumeraty.— —Panu Malic. z Mo...—Sprawunki wysłane zostały jeszcze 16 Grudnia r. z., na co posiadamy kwit pocztowy.— —Pani J. S...—Para angielskich chomont kosztuje, bez opakowania i opłaty transportu, złp. 480.— —Pani Ko...—Dziełko o wychowaniu domowém przez Miss Edgewort, wynosi złp. 5.

Sprostowanie. — Przez omyłkę, w ostatnim numerze—7—Tygodnika, na ostatniéj kolumnie pomieszczono opis figury, która na dołączonéj tablicy deseni nie znajduje się. Opis więc ten, jako zbyteczny, nie ma obecnie żadnego znaczenia.

Listy i przesyłki pieniężne na sprawunki adresować prosimy: *Do J. K. Gregorowicza, ulica Żabia, Nr. 956, dom Krzemińskiego.*

Do dzisiejszego numeru dołącza się wzór deseni do haftu, oraz deseni do wyszycia taśmą, sutaszem i jedwabiem.

---

w Drukarni K. Kowalewskiego. — Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.

Dodatek do Nru 8 Tygodnika Mód.

Warszawa dnia 21 Lutego 1863 roku. *9 Lutego.*

MROWIN I TROCK.

POWIEŚĆ

PRZEZ

Paulinę z L. Wilkońską.

CZĘŚĆ I.

Fit retribution.

Lord Byron.

(Dalszy ciąg).

— Czy przestraszyłaś się bardzo, Kklociu?— Klementyna przyciągnęła ją do siebie, a Stanisław patrzał się na obiedwie owém przydluższém spojrzeniem, pełném szczególniéj łagodnego wyrazu.

— Lękam się o pannę Annę — odrzekło dziewczątko, — grzmoty i błyskawice spotkały ją w drodze.

— Jakżeż to jest ładnie ze strony panny Kloci! — zawołał Stanisław.

Zagrzmiało po raz drugi, bliżéj, cięźéj — pociemniało nagle — i wicher zaszumiał złowrogo.

— Jezus! — zawołało dziewczątko i złożyło rączki.

Klementyna dłonią zacisnęła oczy.

— Przejdźmy do salonu! — wymówiła pani domu — i wszyscy na to powstali wezwanie.

Salon biały, stukowany, z firankami, portyerą i pokryciem na meblach w purpurze ze złotemi frędzlami, błyszczał w oświetleniu sutém.

Dwóch lokai w liberyi z herbowemi blaszkami, w kamaszach piaskowych, czyniło przybory do herbaty. Zastawienie było wykwintne i wystawne.

Młodsi panowie wybiegli przyjrzéć się niebu. Reszta towarzystwa stół owalny przed kanapą obsiadła.

— Czy ten pan Wojarowski zawsze jest tak mało mówiący? — zapytała pani radczyni.

— Wielemównym nie jest — odrzekła pani Rożniszewska.

— Kto mało mówi, wiele mysli — ozwał się radca — i to co do pana Stanisława, sprawdza się pewnie. Znam go od dni paru dopiero, ale poznałem, że miałby wiele do mówienia, gdyby zechciał.

— Bardzo do rzeczy.

— Pan Stanisław dawniéj więcéj rozmawiał — zagadała Klocia — teraz jest często taki.... taki *taciturne* i niby smutny.

Zagrzmiało znowu, więcéj jeszcze — a wicher silnie po oknach zaszumiał.

— Och, biedna panna Anna! — pokręciła Klocia główką.

— Jenerałowa odcierpi tam znowu dziś — ozwała się Klementyna.

— Jenerałowa Raszyńska? — zapytała radczyni.

— Tak jest, w Roztoczanach.

— To w sąsiedztwie?

— O milę.... o półtoréj mili — my najwięcéj z jenerałową żyjemy.

— Państwo macie tak blisko Zalasy i Sioło.

— Tak, ale nam chodzi o towarzystwo dobrańsze. Zdarnowscy szlachta sobie dość zwyczajna, a Tarszowie, jak kolwiek majętni i dom u nich na wyższą skałę, są jednakże.... (*parweniusze,* chciała dodać, lecz nagle urwała). W Roztoczanach zawsze kogoś z wyższego można spotkać świata: jenerałowa jest spowinowaconą z najpierwszemi rodzinami, matka jéj była z domu księżniczka *. Bywamy tam często, i ztamtąd też często przyjeżdżają do Trocka.

— Czy pani jenerałowa nie miewa także pewnych rodowych przesądów? — zapytał radca, z przyciskiem, a żona jego uśmiechnęła się nieznacznie.

— Jenerałowéj nazwisko jest *wysokie,* ma stośunki z najpierwszemi osobami w kraju, dom na dużą prowadzi skalę, i lubi tylko *śmietankę towarzystwa.*

— Jéj to wolno; bo *finanse* dozwalają przestrzegać karmazynu — wymówił radca z przekąsem.

— Drażni ciebie mąż mój! — zaśmiała się pani radczyni, objęła Klementynę nagle zapłonioną i pocałowała ją w czoło.

— Jenerałowa jest rzeczywiście *damą* z wielkie-

go świata, *du haut parage* — broniła się panna — więc i przestaje w téj sferze.

— Zwłaszcza gdy na to pozwalają *finanse*— dodał znowu radca docinkowo.

— Jenerałowa jest zacna i rozumna osoba.

— Słyszałem, że i pani Tarszowa jest osobą wykształconą i rozumną.

— Być może.... znam ją niewiele.

— I córkę wychowała dobrze podobno ładną bardzo panienkę.

— Bardzo piękną! — wyraz cierpkiéj ironii *odpięknił* nagle pannę Klementynę; podniosła się i do fortepianu pobiegła, zapewne dla *kontenansu* lepszego. Ale właśnie, gdy ładnemi palcami w klawiaturę uderzyć miała, zagrzmiało tak silnie, że aż niby cały zadrżał pałac. Odskoczyła więc znowu i na dawniejsze pospieszyła miejsce.

Do salonu nadszedł w téj chwili mężczyzna lat średnich, szpakowatych już włosów i bokobrodów; wystudyowanego układu — umuskany — ubrany nader starannie.

— Ach, pan Łasiński! — zawołała radczyni — szczęście, żeś pan przed rozwinięciem się burzy z miasteczka powrócił.

— Pani radczyni dobrodziéjko, jakżem wdzięczny za to słówko sympatyczne! — wyrzekł przybyły z przesadą i ukłonił się raz drugi,

Pan Łasiński żył z procentu od niedużego kapitaliku. Mieszkał w miasteczku powiatowém, bawił się w próżnowanie — przesiedział czas po największéj części w Trocku i dobrze mu z tém było, bo lubił stół dobry, wygódki życia, towarzystwo, czasem *guerillasika*, troszkę popolować, *pour passer le tems*, przejechać się konno — a za to odpłacał się pochlebstwem, ktorego chętnie słuchano.

Zaledwie téż usiadł, a już opowiadał: że widział się z *plenipotentem* z Roztoczan, i że tenże wspominał, o wielkim szacunku pani jenerałowéj dla państwa w Trocku.

— Przybyła wczoraj do Roztoczan pani hrabina Mińska z córką — dodał — i zapewne dni kilka zabawi.

— To jest siostrzenica pani jenerałowéj, nader miła osoba, i córka jéj, Lidja, także bardzo przyjemną i dobrą jest panienką — objaśniła Klementyna, zwracając się do pani Modlewskiéj.

A my dodamy, że to właśnie była owa dama, która pałac trocki przezwała *etalażem parweniuszowskim.*

— Mógłby się pan Alfons w tym czasie wybrać z wizytą do Roztoczan — zniżył głos nieco Łasiński.

— Dla czegóż teraz?

— Jest-to dobra partya: panienka ładna, posag wyniesie kilkakroćstotysięcy, a majątek jest milionowy. Wiem, że pan Alfons byłby pożądany.

— Być może? — poszepnęła pani Rożniszewska.

— Pani dobrodziéjko! pan Alfons stoi w pierwszym rzędzie młodzieży krajowéj.

— Możeby się pannie nie spodobał — wtrąciła Klementyna.

— Och, taki przystojny, piękny młodzieniec, *comme il faut*: pan Alfons nie potrzebuje się prosić.

— Musi wprzódy wybudować pałac, bo nie miałby gdzie żony wprowadzić — zauważyła matka.

— Ej, przy zasobach i łasce Bożéj to i stanie rychło. Ale że to pan Wojarowski raczéj tylko reperuje stare dworzysko, a nie stawia nowego.

— Przywiązała się do tego dworu starego jego poetyczna natura — ozwała się Klementyna.

— Wprawdzie wielkie to mieszkanie, ale drewniane tylko.

— Pan Stanisław utrzymuje, że będzie miał obszerne i wygodne mieszkanie.

— Być może. A zresztą prędzéj ukończą reperacyą, aniżeliby nowy stanął pałacyk, na czém mu pewnie najwięcéj zależy— i pan Łasiński strzygnął znacząco oczami, skubiąc faworyty strzępiaste.— Pani Tarszowa zapytywała mnie już po parę razy, rychło dwór stanie w Grodzielsku — ruszył jakoś głową, a po licu panny Rożniszewskiéj przemknął wyraz szydzącéj niby ironii — lecz nie umiałem jéj zadawalającéj dać odpowiedzi.... Ha! panna Antonina dorosła, a Ludwika dorasta.

— Panna Antonina jest taka piękna! wymówiła Klementyna z przyciskiem.

— Piękna! — zawołał przyjaciel domu — chyba pani żartujesz: *une beauté du diable*, nic więcéj, toć i diabeł był piękny w młodości. Cóż w niéj jest pięknego, wzrost mały, twarz bez rysów i wyrazu.

Trzasło opodal. Panie porwały się przelękłe. Gospodyni domu znak krzyża ś. zrobiła.

— Państwo siedzicie tutaj w najspokojniejszéj harmonii — zawołał Alfons wbiegający do salonu a na dworze toczy się groźna walka żywiołów.

— Ciemne chmury cały widokrąg zakryły — dodał, nadchodzący Stanisław — i na wszystkie strony płomieniste krzyżują się gzygzaki.

— A naszéj *panny Anny* jak niewidać, tak niewidać — pokręciła głową pani Rożniszewska.

Podano herbatę.

— Stasiu! — zawołał Alfons znowu po chwili— chodźmy jeszcze na *peron*, przyjrzéć się temu dramatowi napowietrznemu — i podał mu cygaro, z arcy-ładnéj cygarniczki.

Wyszli obadwaj. W salonie potoczyła się

znowu rozmowa, przeplatana ciągłemi komplementami pana Łasińskiego.— Tymczasem burza coraz wzmagała się bardziéj — grzmot i błyskawice nie ustawały wcale.

Po chwili — wśród tego huczenia i łomotu zaturkotało na dziedzińcu.

— Jedzie! zawołała Klocia — i pobiegła do okna.

Powóz zatrzymał się przed pałacem. Anna wysiadła — błysło straszliwie, z przerażającym hukiem — piorun trzasł w akacyą opodal — i biedaczka przerażona, odurzona, zatoczyła się na wschodach. Stanisław przyskoczył, silném ramieniem ją ujął, wniósł do sieni oświetlonéj, i wpół omdlałą na sofie posadził.

W téj chwili deszcz lunął ulewny.

— Wody kolońskiéj! *Des sels!* krzyknął Alfons, otwierając drzwi do pierwszego salonu.

— Cóż się stało?

— Co to?

— Mamo! Tynio! — wołał podbiegając daléj— piorun trzasł... zemdlała... *des sels!...* Ależ znakomicie jest powabną.. *interesting!*

Pani domu z radczynią porwały się, a za niemi nieco wolniéj i Klementyna. Klocia była już w sieni — a panowie Łasiński i radca szybko ku drzwiom zmierzali.

Tymczasem służba niewieścia wprowadziła, przychodzącą do siebie Annę, do pierwszego *błękitnego* salonu — i położono ją na kanapie.

Gdy panie nadeszły, podniosła się — była blada śmiertelnie i drżała.

Radczyni usiadła przy niéj i objęła ją wpół.

— Jakżeż serce bije!... Wody z solą! — zawołała.

Stojący opodal Stanisław poskoczył na te słowa pani Modlewskiéj. W przechodzie dosłyszał, jak stojąca w progu Klementyna poszepnęła bratu:

— *Quel coup de théatre, c'est une comedienne assommée.*

Blady — niemal tak blady, jak biedna Anna — powrócił Stanisław z wodą, podał ję pani Modlewskiéj i na bok ustąpił.

— Napij się pani, to uspokaja— i poczciwa radczyni przytknęła szklankę do ust Anny.

Napiła się nieco z przymusem widocznym.

— Dziękuję — poszepnęła — lepiéj mi.... dobrze... Przepraszam!... Przepraszam! — i błagalnie złożyła dłonie.

— Oprzéj się pani, spocznij trochę — pani Modlewska położyła głowę jéj na ramieniu swojém.

Anna poszepnęła raz jeszcze:

— Dziękuję! — przycisnęła do ust chustkę: tłumione łkania wydobywały się z jéj piersi — i płakać zaczęła.

— Wyjdźcie państwo, zostawcie nas same!—prosiła pani radczyni.— Już teraz będzie dobrze: niech się wypłacze. Znam ja stan taki.

Powrócili wszyscy do purpurowo-złocisto-białego salonu. Została tylko służąca, któréj pani radczyni drzwi zamknąć kazała.

— O, dziękuję!... — wyszeptała znowu Anna— dziękuję za tyle dobroci!— i rozpłakała się serdecznie.

— A to wstęp tragiczny— wymówiła pani Rożniszewska, pokręcając głową.

— *Une entrée foudrayante!*— dorzuciła Klementyna z cierpkim uśmiechem, któréj zwykle w chwilach więcéj poruszających wyrazów polskich zabrakło.

— Ale, mój Boże, co ona temu winna! — zawołała Klocia.

— Nic niewinna — odrzekła matka — że piorun uderzył i strzaskał akacyę, lecz po cóż tam zaraz to zemdlenie i kurcze? przeraziła nas wszystkich.

— Lecz piękną była w tém omdleniu — wymówiła Klementyna z owym *odpiękniającym* ją wyrazem — blada, z przymkniętemi oczami, w czarnych sukniach.

— Piękna? Ona?? — zadziwił się Łasiński, i ramionami ruszył.

— Czy nie była zajmującą, Alfonsie?

— Powiedziałem już że wyglądała *znakomicie* odrzekł kawaler — zwłaszcza gdy padła w objęcie Stasia. O, szczęśliwy śmiertelniku! — zwrócił się ku temuż — Wszakżeż i ja tam byłem, ale....

— Proszę cię, mój Alfonsie, nie przekraczaj pewnych granic — ozwał się Stanisław surowo — wiesz, że nie ze wszystkiego i nie z każdego żartować wolno.

— No, no, nie zżymaj się zaraz! *Pardon!*— Alfons podał mu rękę — przeze mnie tylko zazdrość przemawiała, pojmujesz?

Stanisław uścisnął podaną sobie prawicę w milczeniu.

Po chwili weszła pani Modlewska.

— Wszystko już jest dobrze — oświadczyła — panna Jarosławska poprawi tylko nieco ubranie, a potém ujrzymy ją tutaj niebawem.

— Przecież! — poszepnął Alfons.

— Biedaczka! Pożegnanie rodziny, podróż w wieczór ciemny i wśród burzy, trwoga, piorun, który ją przeraził, odurzył, — to wszystko mogło i przy silniejszéj kompleksyi sprowadzić zemdlenie i kurcze.

— Z powodu burzy spóźniło się także i jéj przy-

bycie — nadmieniła jeszcze radczyni — bo konie tylko noga za nogą postępować mogły.

Po chwili ukazała się młoda guwernantka, i powitawszy nasamprzód panią domu, a potém i drugie osoby — zapłoniona, z wdzięcznym wyrazem, przepraszała za niepokój, który sprawiła przy pierwszem w dom wstąpieniu.

— Bo też wstrząśnienie było wielkie, piorun tak blisko uderzył — przemówił Alfons.

— Nic to.... dodała pani Rożniszewska — ale pani przecież nie podlegasz takim *atakom*?

— Po raz pierwszy dzisiaj — odrzekła mocniéj zapłoniona Anna.

— Niech pani siada. — Podać herbatę! — rozkazała pani służbie.

— Paniom wszystkim serdeczną niosę wdzięczność za okazane mi współczucie — zwróciła się Anna uprzejmie ku Klementynie, która jéj zaledwie chłodném odpowiedziała skłonieniem.— A wstyd mnie — dodała ciszéj — za ten przestrach, i uśmiechnęła się przymusowo.

Klementyna ciągle milczała.

— Każdy byłby się przeraził— ozwał się radca — zresztą tak silne wstrząśnienie odurzyłoby i mocniejszą osobę.

— Pani dziś wyjechałaś z Warszawy? — zaczęła pani Rożniszewska, aby téż coś przemówić.

— Dziś pani.

— Mama i babka zdrowe?

— Zdrowe. Dziękuję pani dobrodziéjce.

Klocia zbliżyła się, spoglądając z zajęciem na swoją nową nauczycielkę.

— Moja uczenniczka — wymówiła ta ostatnia i z przymileniem dzieweczkę przytuliła do siebie. Mam téż taką siostrzyczkę — i łzy na to wspomnienie zapełniły jéj oczy.

Po herbacie ofiarowała jéj pani domu, by udała się na spoczynek — i zadzwoniła.

— Zawołać mi pannę Szydlewską — rozkazała lokajowi.

Po chwili ukazała się panna służąca w półtoracznéj krynolinie.

— Powiedz panna Agacie, ażeby zaprowadziła pannę guwernantkę do jéj *apartamentu*. Agata jest przeznaczoną do usług pani— zwróciła się do Anny.

Ta ostatnia skłoniła się towarzystwu na *dobra noc* — i wyszła z panną Szydlewską.

— To jakieś miłe stworzenie – przemówił radca, gdy wyszła.

— Łagodna, skromna — dorzuciła jego żona.

— Tak — dodała pani domu — zdaje się, że nie jest *imponującą* i *pretensyonalną*, jak te *damy* nieraz bywają, zwłaszcza téż Polki.

— *Maman!* — poszepnęła jéj Klocia — *Elle est belle et douce, je l'aime tant!*

— Ma rzeczywiście coś uroczego — zagadał Alfons, pobiegł do fortepianu i zagrał jakąś *elegancką* polkę.

— A gdzie to wyniósł się pan Stanisław? — zapytała po chwili pani Modlewska.

Klementyna obejrzała się po salonie.

— Gdzież jest pan Wojarowski?

— Kazał sobie konia przyprowadzić, jaśnie pani i odjechał do Grodzielska — odrzekł krzątający się lokaj.

— Odjechał?

Klementyna niby zlekka pobladła.

— Alfonsie, cóż się stało, że pan Stanisław już odjechał?

— Kazał mamę i całe towarzystwo przeprosić, że bez pożegnania odjeżdża— odrzekł młody *dandy*, przerywając sobie polkę — ale naglił go do powrotu jakiś pilny interes domowy, i nie chciał być zatrzymywany.

— Noc ciemna, deszcz, burza... Jakżeż mogłeś go puścić! — zarzuciła mu matka; a piękne lica Klementyny przysłonił wyraz niepokoju, a był jéj więcéj do twarzy, aniżeli owe pobłyski ironii i szyderstwa.

— Burza ustała, mamo, i deszcz już nie pada— odrzekł Alfons — noc nie jest zbyt ciemna, a zresztą Staś, jak co postanowi, to go nikt od tego nie odwiedzie.

— Konno... sam jeden!

— Dobry z niego jeździec, a droga bezpieczna.

Pani Rożniszewska jeszcze pokręciła głową — a Klementyna wyrzekła:

— Alfons dla zaspokojenia mamy może jutro zrana do Grodzielska pojechać.

— To też i pojadę, piękna siostrzyczko: obiecałem się nawet— Alfons powstał od fortepianu.— A teraz ty nam coś zagraj lepszego od poleczki, *Tino!* — Ale panna i pomimo prośb drugich osób, wymówiła się lekkim bólem głowy. (d. c. n.)

DONIESIENIE.

W Redakcji Tygodnika Mód można nabyć:

—*Książkę do nabożeństwa dla wieśniaków*, ułożoną przez Janka z Bielca, z dwoma rycinami, w oprawie mocnéj ozdobnej, za złp. 2 gr. 15; kupującym egzemplarzy 10, przesyłka nastąpi kosztem Redakcji.

—*Modlitwę poranną* Janka z Bielca, po zniżonéj cenie, egzemplarz za gr. 10.

—*Obrazek Matki Boskiéj Częstochowskiéj*, sztuka gr. 3.

—*Alfabet duży i mały* do uczenia liter, arkusz gr. 5.

Kupującym za złp. 10 ostatnich trzech wydawnictw, Redakcja takowe kosztem swoim prześle.